

Karl Krug



ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

Karl Krug

Od czasu jak pożądlivi dziennikarze nasi porobili rozmaite zabory geograficzne i n. p. bawarskie *München* już nie *Monachium*, ale polskim *Mnichowem* mianować zaczęli, straciłem żal do Niemców, że tak niezdarnie *Mysłowice* szląskie przechrzcili na *Mysłowitz*. Ale za to nie przebaczę im nigdy, że poczciwemu *Karolowi Krukowi* bez przyczyny kazali być *Karlem Krugiem*. Wprawdzie urodził on się na ich nowonabytym gruncie, mowy ojca swojego nie wiele pamiętał, z Niemką się ożenił, ale niepokalaną trzeźwością wcale na to nie zasłużył, ażeby go *Krugiem*, to jest *dzbankiem* złośliwie nazywano. Nazwisko to dokuczalo mu zwłaszcza w ustach burzliwej żony, która co rok jesienią, ile razy biedny mularz z małym zarobkiem do domu wrócił, zawsze go o tajemne stosunki z *dzbanem* posądzała. Bogu, a jeszcze lepiej portyerowi kolejowemu było wiadomo, że Krug nawet ofiarowanego kufelka często unikał, ażeby nie utopić w nim groszów, które z bojaźni dla żony a z miłości dla dzieci starannie w kieszeni dusił. Szczególniej zaś, gdy zbliżająca się zima kielnię mu z rąk wytrąciła i włożyła w nie tkackie cewki, któremi odzwyczajone przez lato palce na wyżywienie licznej rodziny starczyć nie mogły, przerażony obawą głodu mularz chował zarobione pieniądze ze skąpstwem wiewiórki, kryjącej w dziuple zebrane orzechy. Wtedy żałował sobie nawet szczypty tytoniu do fajki i raz ją nałożywszy w południe, ssał do wieczora drewniany cybuszek, zapalając tylko co chwila wygasły popiół i wyciągając dym z przymieszanych do niego węgielków. I ta wszakże przyjemność wydawała się jego połowicy zbytkiem.

— Czemu ty sobie szczeciny z pod brody nie skubiesz i nie palisz? — wołała ona, uderzając się grubą ręką w kolano. Ja nie mam przy czem duszy zagrzeć dla wyprasowania bielizny portyerowi, a on mi ogień ciągle rozgarnia.

W lecie Krug uśmiechał się dobrotliwie na te wyrzuty, w jesieni brwi marszczył, a w zimie siadał spokojnie do krosien, ale wkrótce, upatrzyszwszy sposobną chwilę, wymykał się z domu i szedł do swego przyjaciela portyera, myśląc zapewne przez drogę, że nawet za korzec suszonych śliwek i cały bok wieprzowego schabu nie dałby sobie ogolić a tem mniej wyskubać włosów, które mu, od dwudziestu lat starannie przystrzygane, na szczękach i podbródku gęsto porastały i tworzyły owe charakterystyczne ramy, w jakie się z upodobaniem oprawia każde niemieckie oblicze. Portyer stacyi myślowickiej Franz Klotz (dawniej Franciszek Kłos) najskuteczniej koił troski Kruga nie tylko dla tego, że jako były konduktor, a obecny wielbiciel jego żony, która mu w zamian za tę miłość tanio bieliznę prała, rozbrajał jej gniew na męża, ale nadto jako urzędnik, koło którego koleją żelazną przepływała fala ludzi, najprędzej mógł się dowiedzieć o zajęciu dla próżnujących nieraz rąk mularza. Trzeba nawet na pochwałę jego przyznać, że z niezmordowaną skrętnością wyszukiwał dla Kruga najodleglejsze zarobki i wtedy, o ile mu tylko pozwalała straż przy dzwonku, czuwał troskliwie nad bezpieczeństwem jego żony.

Rok 1877 rozpostarł nad życiem mularza myślowickiego bardzo groźne chmury, gdyż na wiosnę pobłogosławił go piątym z kolei potomkiem a w połowie lata pozbawił roboty. Już w lipcu, kiedy Krug zwykle najobficiej napełniał pończochę talarami i kilka razy dziennie w oczach żony świeżym tytoniem napełniał fajkę, nie miał innego zajęcia prócz podmurowania małego mostku na stacyi. Szczęśliwszego roku byłby je ukończył w kilkanaście godzin, teraz włókł już przez tydzień, ociosywał starannie każdą cegłę, rozcierał aż do najdrobniejszych grudek wapno, badał szczegółowo jego gęstość, rozsmarowywał jak masło na chlebie, zbliżał się i oddalał, a często wzdychał, jak gdyby żałował, że krótki mostek nie ciągnie się aż do Wrocławia. Przedłużając robotę, spodziewał się ciągle, że

lada chwila zawezwą go gdzieś do innej, przy której pozostanie aż do zimy i zyska tyle pieniędzy, że będzie mógł sobie podwatować kaftan, a małemu Fritzowi palto. Nareszcie podmurowywanie się skończyło. Krug wstał, obejrzał mostek troskliwie, podumał nad nim chwilę, zebrał sprzęty i udał się ku domowi. Idąc, kilka razy jeszcze spojrzął z oddali, czy robota jakiej poprawki nie potrzebuje. Na nieszczęście nie dostrzegł w niej żadnego braku. Wartoby pomalować — szepnął. Kto go wtedy spotkał zgarbionego pod szaflikiem wapna, z młotkiem i kielnią, z wyrazem martwej troski w oczach, pomyślał niezawodnie, że człowiek ten idzie sobie grób murować. Czoło mu w zmarszczki nad nosem się sfałdowało, dwa doły policzków, nadmiernem ssaniem cybuszka wyżłobione, jeszcze bardziej wklęsły, skóra na twarzy przybrała ceglana barwę, którą posępnie zachmurzał cień daleko wystającego daszka czapki. O, w tej chwili byłby Krug chętnie pozwolił oskubać sobie podbródek i faworyty za pewną nadzieję roboty!...

Wszedł do izby bojaźliwie, nie spojrzawszy na żonę, która wśród rozłożonej i wyprasowanej bielizny portyera, z właściwą wszystkim gwałtownym kobietom namiętnością do skrupulatnego porządku, płukała głowę swego syna w szerokiej balii. Krug złożył w kącie narzędzia mularskie i zaczął wyciągać z za pieca jakieś drążki.

— Cóż to, zabierasz się do krosien? — rzekła tłumiąc gniew żona. — Pewnie za to w styczniu będziesz murował.

— Niema roboty.

— To zamuruj nam gęby, aby jeść nie chciały.

Krug nic nie odpowiedział i postawiwszy za piecem drążki, wyszedł. Jak zwykle w strapieniu, postanowił uciec do portyera. Właśnie zbliżył się do swego mostku, zajęty myślą, dla czego zarząd kolei nie potrzebuje szyn na cienkie druty wyciągać, gdy ujrzał idącego od stacyi przyjaciela. Klotz, zwykle sztywny w swym mundurowym futerale, żywo trząsał starokawalerskim ciałem, podkręcał wasy i ciągle podnosił rękę, jak gdyby salutował przed jakąś niewidzialną dostojnością. Chociaż od dnia objęcia swego stanowiska tylko urzędowym przemawiał językiem, kto wie jednak, czy w tej chwili nie wrywały mu się z ust, wzruszeniem wyrzucone, polskie słowa. Krugowi serce radośnie zabiło: był pewnym, że przyjaciel niesie mu wiadomość o zyskowej robocie.

— Nie pójdziemy do Kanossy? He? — zawołał zdaleka.

— Gdzie? — spytał drżący mularz.

— Do Kanosy.

— A długo tam będzie zajęcia?

— Nie pójdziemy — Bismark powiedział wyraźnie.

Krug pochylił głowę, bo zrozumiał, że portyer zamiast nowiny mularskiej przyniósł mu polityczną.

— A nie słyszeliście tam...

— Słyszałem od jednego urzędnika z komory, że to katolikom bardzo się nie podoba.

Objasnić należy, iż Franz Klotz, jako katolik, mimo swej oficjalnej prawomyślności, był skrytym nieprzyjacielem religijnej polityki księcia Bismarka. Ponieważ zaś w miejscu urzędowania bał się swych pretensyi wyjawiać, do Kruga zaś jako współwyznawcy i przyjaciela miał zaufanie, więc dowiedziawszy się o zapowiedzi kanclerza, postanowił co prędzej oburzeniu swemu otworzyć bezpieczne ujście. Miał on przytem inny, bardziej prywatny cel: co była Kanossa — nie wiedział, słyszał tylko, że za nią katolicy mocno się gniewają; ponieważ zaś był polityczną wyrocznią niższej służby kolejowej, próbował więc, czy czasem mularz...

— Tak, tak, już nie pójdziemy do Kanossy.

— Już mostek podmurowałem — odezwał się Krug smutnie.

— Narodowo-liberalni klaskali księciu — mówił dalej portyer tajemniczo, zawróciwszy mularza do domu — ale konserwatyści szturgali się łokciami. My tu wszyscy jesteśmy bardzo niezadowoleni.

W tej chwili z za budki, którą mijali, ukazał się posługacz kolejowy.

— Nie pójdziemy do Kanossy! — krzyknął nagle Klotz do swego towarzysza z uradowaną miną, jak gdyby chciał być przez posługacza dobrze usłyszany i rozumiany. Wszystkie stronnictwa klaskały.

Gdy posługacz był daleko, portyer związał przerwaną na chwilę nić swej politycznej opozycji.

— On duży, ale i nas dużo, pójdziemy i wstrzymać się nie damy. Już dostał naukę. Jakiś hrabia katolik miał się z jego córką żenić; teraz ją porzucił. Albo to wszystko? A Francya!

— Roboty niema... przerwał Krug z westchnieniem.

— Ale będzie, będzie i to długa — szepnął Klotz; bez wojny się nie zaradzi.

— Wojny? — powtórzył mularz omdlałym głosem.

Klotz należał do rodzaju ludzi, którzy w sobie samych upatrują przyczynę ważnych wypadków. Jak był przekonany, iż pociągi przychodzą i odchodzą z myślowickiej stacyi dla tego, że on na nie dzwoni, tak był przekonany, iż po wyrzeczeniu Bismarka Europa się burzy dla tego, że on wzruszenie czuje. Wzruszenie to jednak nie mogło się w żaden sposób udzielić strapionemu mularzowi, który siedł ciągle obok towarzysza znękanego i zajęty myślą o swem bezrobociu.

Właśnie Krugowa skończyła myć ostatnie dziecko i zabierała się do czesania czterech rozczochranych, mokrych jeszcze czupryn, które rzędem ustawione koło pieca spokojnie oczekiwały grzebienia, gdy do izby wszedł Klotz z mularzem.

— Nie pójdziemy do Kanossy! — zawołał portyer, nie zdejmując jak zwykle czapki, którą z nabytego w wojsku zwyczaju i dla okazania swej godności nawet przy damie swego serca zatrzymywał na głowie.

— Naturalnie — odrzekła Krugowa.

Odpowiedź ta zdziwiła portyera, dawała bowiem poznać, że w mądrości żony mularza znajduje się może klucz do odgadnięcia niedość zrozumiałej dla myślowickiego polityka zagadki. Ale jakież było jego zdziwienie, gdy pociągnąwszy zręcznie Krugową za język, dowiedział się od niej, że Kanossa jest włoskim zamkiem, gdzie kiedyś cesarz niemiecki odbywał pokutę, nakazaną mu przez papieża. Dwa uczucia niby dwa skrzydła uniosły zachwyconego Klotza: nadzieja zaimponowania wiedzą służbie kolejowej i nową pobudką wzmocniona miłość dla tej, z której ust spłynął na niego strumień tak jasnego światła. W uniesieniu zapomniał nawet portyer o swych pretensjach religijnych.

— Nie pójdziemy, nie! — powtarzał głaszcząc dzieci po uczesanych włosach.

— Ten próżniak iść może — rzekła Krugowa szydlerczo, wskazując na męża, który stał przy kominku i usiłował popiół w fajce zapalić.

Usłyszawszy te wyrazy, drgnął, upuścił dymiące się drewnienko i spytał rozpaczliwie Klotza:

— Więc nie ma nigdzie roboty?

— Ależ jest — zawołał portyer — bardzo dobra.

— Gdzie? — ryknął Krug, przyskakując do Klotza.

— Ach! zapomniałem. Przyjechał z Warszawy i stanął w hotelu żyd, który chce skontraktować kilkudziesięciu mularzów.

Gdyby błyskawica otworzyła Krugowi niebo, nie wskoczyłby w nie z taką siłą, z jaką rzucił się we drzwi i wybiegł na ulicę.

Żona wyjrzała przez okno.

— Na długo tam może mieć zajęcia?

— Na dwa miesiące — odrzekł Klotz, poklepawszy ją czule po ramieniu, i zwrócił się do wyjścia.

— Tata pojedzie — szepnął żałośnie pod piecem mały Fritz do starszego brata.

— Nie, moje dziecko — upewniła matka, uśmiechnąwszy się do wychodzącego portyera.

Na drugi dzień wieczorem obwieszony czterema synami Krug rozdzielał między nich całusy i napomnienia.

— Pamiętaj August, nie zniszcz nowych spodni i chodź do szkoły.

— I ty Fritzku także ucz się abecadła. Za to wam ojciec przywiezie z Warszawy ładne buty. No, jeszcze raz pocałujcie mnie.

Chłopcy zaczęli go tak obficie ślinić, że wkrótce wyglądał jak upoliturowany.

— Dość tego, dość już — wołał portyer — musimy iść, bo zaraz dzwonić będę.

Skończył Krug pożegnanie z dziećmi, uściskał rękę żony i zabrawszy tłomoczek, udał się na stację. Siadłszy do wagonu, spojrzal tęsknym wzrokiem w stronę, gdzie drobne światełko migotało na ciemnym tle nocy. Wreszcie zdawało mu się, że ktoś jego sercem

trzy razy mocno uderzył. A to tylko Klotz trzy razy na odejście pociągu zadzwonił, potem szybko pobiegł w kierunku tegoż światelka — czuwać nad bezpieczeństwem żony przyjaciela.

Byłoby pokuszeniem wprost zuchwałem, gdybym nie poprzestając na wyrokach nasyżych znanych i sympatycznych ekonomistów, którzy szeroko i głęboko rozstrzygnęli, dla czego w roku zeszłym Warszawa tak namiętnie rzuciła się do budowy nowych domów, samodzielnie chciał tę kwestyę rozwiązać. Ale byłoby z drugiej strony czynem niesumien- nym, gdybym dla wyjaśnienia przyczyny, która Kruga sprowadziła do Warszawy, owych wyroków nie przytoczył. I tak jedni zadecydowali, że powodem gorączkowego wzo- szenia nowych kamienic były krzyki literatów na drożyznę mieszkań, drudzy — że chęć zyskiwania wysokich procentów, inni — że świeżo odnalezione, obfite pokłady gliny, inni — że wzrost handlowy naszego miasta, inni wreszcie, którym najmniej wierzone — że przerażone wojną kapitały zlekły się ruchów ryzykownych i zwróciły się w kierunku przedsięwzięć najbezpieczniejszych.

Wszystkie te zaś różnojęzyczne wnioski godziły się w jednym fakcie, mianowicie, że Warszawa wznosiła niezwykłą liczbę domów i że dla podolania pracy rąk krajowych zabrakło. Oto dla czego Max Glückwurm, który tanio kupił plac przy ulicy Chmielnej i w końcu sierpnia trzy domy na nim budować zaczął, wysłał swego faktora do Mysłowic, ażeby mu sprowadził ze Szląska kilkunastu mularzy.

W liczbie szczęśliwych był i Krug. Przyjechał do Warszawy w towarzystwie piętnastu innych robotników, którzy, jako rodowici Niemcy, wybrali go za swego przewodnika. Co prawda Krug, przyjmując nad nimi opiekę, znacznie przeceniał swoje językowe siły, o które im naturalnie głównie chodziło.

Wychowany bowiem wśród Niemców, ożeniony z kobietą, która po polsku mówić nie umiała, zaprzyjaźniony z człowiekiem, który dla urzędu swego mówić po polsku nie chciał — tak sobie pokaleczył ojczysty język, że ledwie nim mógł obracać na ziemi swych przod- ków. Tylko obowiązek przewodniczenia towarzyszącej mu nadewszystko duma z przyjętej roli dodawała mu odwagi. Wkrótce jednak przekonał się ze smutkiem, jak duma ta była złudną. Nająwszy przed dworcem trzech doróżkarzy, którzy mieli zawieźć powierzony mu oddział na Tamkę, a w drodze go chcieli wyrzucić, zapłacił im tyle, ile niezrozumiałym dla niego krzykiem zażądali. Ze zaś zażądali dużo i że Glückwurm w kosztach podró- ży cenę tego przejazdu znacznie zredukował, zgodnie łatwo każdy, kto zna warszawskich doróżkarzów i Glückwurmów.

Jeśli pierwszy sen na nowym miejscu może służyć za nieomylną wróżbę, to marzenia Kruga podczas pierwszego noclegu w wilgotnej suterenie, gdzie Glückwurm umieścił mularzy, powinny go były przejąć najlepszą otuchą. Śniło mu się bowiem, że jego Fritz spodnie szanował i do szkoły regularnie chodził, że August wypisał na parkanie wapnem całe abecadło, że Wilhelm nauczył się wprawnie *Vater unser*, że Bruno wyciągał rączki do portyera i wołał: *tata*. Nad ranem wreszcie ukazał się Krugowi we śnie anioł i objawił mu: „oto zarobisz w Warszawie bardzo dużo pieniędzy, a żona twoja pocznie i porodzi syna, któremu dasz imię Franz”. Dawniej byłby Krug tem ostatniem prorocstwem bardzo się przeraził, bo jakkolwiek miłość jego do dzieci była ilościowo nieograniczoną, ogra- niczone były środki ich wyżywienia; ale teraz gdy mu anioł zapewnił duży zarobek, rad był pomnożeniu się potomstwa, tem bardziej, że nowy przybysz miał nosić imię jego przyjaciela.

Jeszcze słońce krawędzi nieba nie rozjaśniło, kiedy Krug zerwał się z pościeli. Potrze- ba zaczęcia roboty i dotykającego przekonania się, że ją dostał, spać mu nie dawała. Nie mogąc doczekać się powstania towarzyszków, naprzód stukiem, później targaniem zwołna ich rozbudził. Ziewnęło przerywaną gamą piętnaście piersi, niby piętnaście hasel budzącej się pracy.

Wkrótce wszyscy mularze byli gotowi do wyjścia, ale na nieszczęście nikt się nie zjawiał, toby im wskazał miejsce roboty. Okoliczność ta niepokoiła nadewszystko bied- nego Kruga, który tak często i głęboko wdychał, że razem zebrana para tych westchnień wystarczyłaby na cały obrót rozpędowego koła lokomotywy. Około 7 godziny wreszcie wszedł do suterenu młody żydek i oświadczył mularzom, że ich zaprowadzi do majstra, który zarządza robotami przy domach Glückwurma. Formalność wzajemnego przypo-

mnienia sobie warunków kontraktu i przyjęcia robotników odbyła się bardzo prędko, i Karl Krug na czele swego oddziału wkroczył uroczyście na zrąb jednego z rozpoczętych domów.

— Dobry dzień — rzekł uniżenie do trzech już zajętych, miejscowych mularzy, którzy przybyłą drużynę groźnym zmierzili spojrzeniem.

Nikt nie odpowiedział. Krug jednakże nie mógł zważać na to uchybienie względem grzeczności tam, gdzie chodziło o nieuchybiecie dwurublowemu na dzień zarobkowi. Przypasawszy więc fartuch i ująwszy kielnię, zaczął murować wśród swoich towarzyszków.

O godzinie ósmej zakołatano na śniadanie. Zapracowany Krug byłby tego sygnału nie słyszał i nie rozumiał, gdyby nie spostrzegł, że trzej odosobnieni od jego grupy, warszawscy mularze usiedli na murze i rozpakowawszy tłomoczki, zaczęli z nich wydobywać chleb i ulubioną „wędzonkę”. Widok ten przypominał niemcom powinność względem rzeczywiście głodnych żołądków. Krug porozumiewając się z towarzyszami, przystąpił do jedzącej trójki i pokornie spytał:

— Jest piwo niedaleko dostać?

— Tam, naprzeciwko — odrzekł jeden, wskazując na elegancki handel win. Przynajmniej wam dobrze kieszenie wytrzęsą — dodał po odejściu Niemców. Pse wiary, nie mogą w domu kiszek grochowych nadziewać, tu przyłazą człowiekowi robotę odbierać.

— Już nie raz pewnie byli, bo i po polsku trochę szwargoczą — odezwał się drugi.

— Jak prosiaki po francusku — wtrącił trzeci. Oni między ludźmi, czem pudle pomiędzy psami; nawet po ludzku mówić się nie nauczą.

Głośny śmiech oznajmił trafność tej uwagi.

— To nie ma rady — podjął znowu pierwszy — trzeba tym pudlom raz ogony poobcinać, żeby nam szkody nie robiły. Co rok więcej się ich zlatuje, a jeżeli im nie poparzemy skóry, niedługo nas wyduszą. Niech pilnują swoich śmieci! Czy my do nich leżymy? Bo to nie dość, że robotę wydzierają, ale jeszcze zapłatę zmniejszają. Często, kiedy mularza za dwa ruble nie dostanie, oni gromadą po rublu się godzą. I majster mówi: nie chcesz rubla, to ja sobie sprowadzę tysiąc Niemców za tę cenę. Oni głodomory mogą mało brać, bo jak sobie raz na dzień brzuch naładują kartoflami, to i kontenci; a człowiek potrzebuje zjeść kawałek mięsa, wypić kieliszek wódki.

— Rozumie się — zawołali dwaj inni, wepchnąwszy w usta po kawale wieprzowiny i zatkawszy ją chlebem.

— Żeby chociaż czepiali się tego, czego człowiek się nie imie. Żeby u nas sobie łapali psy, ściągali ze zdechłych koni skóry i nosili po wsiach towary, ale im się zachciewa rzemiosła — mularstwa. Kartoflarze! My i bez nich nastarczymy robocie — jak dnia zabraknie, to w nocy, a jak sił nie będzie, to się wódki doleje i mięsa dołoży.

— Rozumie się — potwierdzili obaj towarzysze.

— Jest na szczury trutka. Przeszłego roku, jak majster budował dom na Brackiej, mieliśmy także pięciu Niemców. Różne im sztuki robiliśmy, ale szczególnie jeden szelma hardy ostrzem się stawiał. Raz podawaliśmy cegłę — on stał przy mnie na ścianie pierwszego piętra. Rzuciłem spokojnie, wreszcie kiedy mi bąka pod nos puścił, jak go trzepnę cegłą w łeb, bez namysłu na dół się zwałił. Tylko karku nadkręcił, ale śmieliśmy się też, śmieli... Z nimi inaczej nie można.

— Rozumie się — powtórzyli inni.

— A jak się zdarzy, nabij co wlezie; nie odda, bo się naszych boi, i do sądu nie pójdzie, bo głupi, rozmówić się nie umie. A wreszcie, ktoby tam za lutrem świadczył!

— Rozumie się.

Mówcą, którego narodowo-mularskim pretensjom dwaj inni tak zgodnie akompaniowali, był Rafał Czaplą, licheski, ale wesóły i zuchwały robotnik, który w swoim świecie używał szerokiej sympatii. Lubiono go za to, że czas pracy uprzyjemniał anegdotami, że zwady skutecznie rozstrzygał, że przedsiębiorców oszukiwał, że rozmaite dodatki do umówionej pracy wytargowywał, że wreszcie zimą, kiedy wraz z innymi zajmował się tragarstwem, umiał zawsze przy przenosinach zręcznie ukrywać w kieszeni jakieś drobne rzeczy, które nie zubożywszy właścicieli, towarzyszom jego zapewniały niezłe pokrzepienie w szynku. Najwyższą dla niego moralnością było dogodzenie tym, z którymi pracował, a jedyną w tym względzie granicą — brak sposobności. Że Czaplą w korzystaniu z owoców swego poświęcenia przyjmował należny mu udział, nie stanowiło to dla jego dobrych

chęci żadnej skazy. Na własny użytek złamanego gwoździa nikomu by nie ukradł, ale dla gromady kasę by złupił. Ponieważ zaś zawsze występował w interesie gromady, posiadał w opinii świadectwo najuczciwszego człowieka.

— Patrzcie, patrzcie — zawołał on — jak lutrzy ze złości podskakują, musiał ich kupiec dobrze wydoić.

Rzeczywiście niemcy wyszli ze sklepu winnego dziwnie wzburzeni. Widocznie coś im Krug zawinił, bo otoczywszy go, obsypywali głośnie złościami. On biedny, nie mogąc dać sobie rady, wydarł się z koła i przybiegł do rozweselonych tą sceną trzech mularzów.

— Powiedzieć im — nie ma taniej piwo — zawołał.

— *Es gibt, es gibt!* — krzyczeli inni, dognawszy go.

— Jest — odezwał się zimno Czapla.

— A ha! — zawrzasnęli niemcy, szturgając Krugowi palcami do oczu.

— Ja *doch* pytał — bronił się Krug — wy pokazać tam.

— Pytaliście się — odparł Czapla — gdzie niedaleko, ale nie gdzie tanio.

— *Was? was?* — badali niemcy.

Krug im odpowiedź po niemiecku powtórzył.

— *Da habt ihr's nun!* — urągali mu — *Maulaffe! Er versteht polnisch!*

Krug głowę spuścił i milczał, bo tym sposobem najlepiej się spodziewał zażegnać burzę, która się zwała na jego głowę. Ale ziomkowie, oddaliwszy się o kilka kroków, znowu wybuchnęli gwarnym gniewem. Wreszcie jeden z nich przyskoczył do Kruga, porwał go za rękę i krzyknął:

— *Warum hast du dem schönsten Kerl nicht gesagt? Du sprichst ja polnisch!*

To rzekłszy strącił mu czapkę i podeptał.

— Co miał ja zrobić? — rzekł na pół z płaczem Krug, zwracając się do trzech rozweselonych mularzy i otrzepując czapkę. My nie wiedzieli, że w tej piwiarni czapka zdjąć trzeba. My siedli przy stół i jemu kelner kapelusz zrzucił. Co miał ja powiedzieć? Ach, *Hergott, Hergott!*

— U nas każdy dom to kościół — odrzekł Czapla — głowy nakrywać nie wolno.

— Nu czy ja wiedział! *Hergott.*

Drapiąc się w głowę, odszedł strapiiony do swych ziomków, którzy rozmawiali żywo w gromadce. Zwolna jednak ogień ich gniewu przygasł, czasem tylko, niby niedotlona iskra, wybiegała z szemrzących ust pretensja do Kruga, że się nie spytał miejscowych mularzy o tanie piwo. Sprawa ze zrzucenym kapeluszem nie była wcale wznawiana. I nic dziwnego. Obrażonym synom Germanii nieraz już zrzucano w kraju kapelusze, ale nie podnoszono ceny piwa.

Po chwili wszyscy zajęli się robotą. Tylko Czapla ciągle szeptał coś wesołego sąsiadom swoim.

Gdy o 12 dano znak obiadu, niemcy zgromadzili się w kupkę i po długiej naradzie, w której jeden dawał widocznie jakieś objaśnienia, czy przestrogi Krugowi, wysłali go do polaków.

— Gdzie jest dostać tani obiad?

— Tu — rzekł Czapla, wskazując na okazałą restaurację.

Niemcy udali się, ale wkrótce wyszli, bo prawdopodobnie nauczony Krug spytał się naprzód o cenę.

— A szelmy! — zawołał Czapla, widząc, że go figiel zawiódł.

Nieszczęściem dla Kruga było to, co sobie, jadąc do Polski, za szczęście liczył, mianowicie słaba znajomość języka polskiego. Znał go bowiem akurat tyle, ile potrzeba było do odczuwania złośliwości cudzoziemców i robienia zawodów swym rodakom. Z obu stron chostano go dotkliwymi wyrazami, on pod nimi często płacząco jęknął, ale w końcu dobrotliwie się uśmiechał, bo każdą gorycz osładzała mu błoga pewność zarobku. Ani przez chwilę nie pomyślał o zemście.

Po wymysłach i przycinkach zostawały mu tylko niewyraźne wspomnienia, a po dniach pracy ruble — dla czego miał dbać więcej o pierwsze, niż ostatnie? Wcale więc nie szemrał i zgodziłby się na los taki do końca żywota. Cierniem na drodze biedaka jest nie zniewaga, ale bezrobocie.

Po miesiącu bytności, pełniąc ciągle obowiązki delegata swych towarzyszków, poprawił sobie znacznie polską mowę i poznał miasto, co go zabezpieczyło od ich gniewu. W miarę wszakże, jak dola jego z tej strony się wypogadzała, z drugiej zaciemniały ją coraz większe chmury. Czapla był niezmordowanym w trapieniu Niemców za pośrednictwem Kruga. Raz zawiadomiwszy go, że nazajutrz przypada jakieś kościelne święto, zanim nieporozumienie się wyjaśniło, wstrzymał ich na pół dnia od roboty. Krug był zbyt pracą ogłuszonym i z natury dobrotliwym, ażeby mógł w postępowaniu Czapli dostrzedz systematyczne prześladowanie. Zdarzył się jednakże wypadek, który łatwowierności mularza myślowickiego posłużył za ważną przestrożę. Czapla pożyczył od niego cztery ruble, które wraz z towarzyszami przepił. Cierpliwie Krug czekał zwrotu pieniędzy, ale nareszcie, gdy dłużnik zdawał się o nich wcale nie pamiętać, sam go zaczepił.

— Jakie cztery ruble? — spytał wesoło Czapla.

Przykry dreszcz przeleciał po nerwach Kruga.

— No te — odrzekł — co ja przeszła sobota dal.

— Nie przypominam sobie.

— Pan Bóg, wy nie przypominacie sobie moje pieniądze!

— Nie, ale zresztą jeśli je wziąłem, to oddam.

Tak się skończyła pierwsza w tym przedmiocie interpelacja. Za kilka dni wystąpił Krug z drugą.

— Co za cztery ruble w łeb wam zajechały? — spytał już gniewnie Czapla.

— Te, które z moja kieszeń do wasza wyjechali.

— Nie trzeba było ich puszczać.

— Nie trzeba było wyciągać.

— Cicho podły kartoflarzu — odburknął się Czapla — ja z cudzych kieszeni nie wyciągam!

— Gniewać się nie ma o co, po *bruderski* dal, po *bruderski* żądam — uspokajał zakłopotany Krug.

Mimo widocznego niebezpieczeństwa z zuchwałym przeciwnikiem, nie zrzekł on się myśli wydobycia od niego swej należności. Walka o pieniądź była jedyną, w której zajęczego serca Krug mógł się stać lwem i nie ustąpić przed najgroźniejszą mocą. Przekładając zawsze zgodę nad klótnię, i tym razem spór zawiesił; ale widocznym było, że go znowu kiedyś daleko energiczniej podejmie i do końca doprowadzi. Po kilkudniowym namyśle postanowił jeszcze ostatecznie dłużnika nacisnąć groźbą procesu.

— Słuchajcie wy — rzekł do niego — dla czego nie chcecie mnie dobrowolnie oddać moje cztery ruble?

— Oszalałeś — krzyknął Czapla. Masz kwit, świadków, żem pożyczył!

Krug należał do ludzi, których każdy nowy grom obezwładnia. Chociaż więc był zdecydowany na krok najśmielszy, usłyszawszy te niespodziewane słowa, zdrętwiał i ogłuszony odszedł. W tej chwili zbliżył się do Czapli jeden z miejscowych robotników i szepnął:

— Potrzyście Niemca. Wiecie, że ich majster po dwa ruble zgodził, a nam tylko dziesięć złotych płaci.

— Po dwa ruble? — zawołał zdumiony Czapla.

— Tak, sam mi ten stary mówił.

— A złodzieje pludry, oni więcej od nas biorą! Poczekajcie, ja was podkurzę! O, nie byłbym uczciwym człowiekiem, gdybym mu cztery ruble oddał. Dopłaci jeszcze.

Krug tej rozmowy nie słyszał, bo stał zdala zatopiony w posępnych myślach, które mu co chwila groźnymi spojrzzeniami z oczu przeglądały. Temperamenty łagodne i ociężałe rozpalają się wolno, jak mokre kłody. To też Krug dymił się, zanim mu w twarzy błysnął ogień śmiałego postanowienia. Przystąpił do Czapli i zacisnąwszy młotek w rękę, rzekł z drżeniem w głosie:

— Czy ty oddasz moje cztery ruble?

Czapla popatrzył nań wzgardliwie i tak silnie uderzył go w twarz kulakiem, że biedny Krug, zawahawszy się, padł skrwawiony na ziemię. Poleżał chwilę niemy, wreszcie podniósł się i odszedł do towarzyszków. Ci widząc go zranionego, raczej domyśliwszy się, niż dowiedziawszy co zaszło, rzucili się całą gromadą do Czapli, i byłiby na nim niezawodnie srogo pomścili krzywdę Kruga, gdyby na szczęście dla jego napastnika nie zjawił się

majster. Objaśniony przez jednego z Niemców, uspokoił ich zapewnieniem, że za pobicie sąd Czapłę ukarze, on zaś straci mu na rzecz Kruga pożyczone pieniądze.

— A ja mu Niemca strączę — mruknął Czapla do swych przyjaciół.

Trzeba wnikać głęboko w naturę prostego robotnika, żeby zrozumieć jej tajemnice. Pomimo strasznej zniewagi, Krug był zadowolony z zakończenia sporu; odbierze pieniądze i będzie sędownie pomszczony, a nade wszystko odbierze pieniądze...

Do domu wrócił prawie wesoły. Tu oczekiwała go niespodzianka, która do reszty zatarła w jego pamięci przykre wspomnienie. Odebrał pierwszy list z Mysłowitz — od portyera.

„Mój kochany Karolu! — pisał do niego lichą Niemczyzną przyjaciel. Ponieważ pewnie jesteś niespokojny, jak nasi myślą względem Kanossy, więc spieszę ci donieść, że ciągle są niezadowoleni. Tylko nie wspominaj o tem, a list zniszcz. W domu twoim dobrze słychać, dzieci się uczą, żona zdrowa — wszystko tak idzie, jak gdybyś sam był na miejscu. Nawet lepiej. Winszuję, winszuję, żona twoja w błogosławieństwie. Na zimę dostaniesz duży obstalunek płótna. Widzielibyśmy cię chętnie, ale siedź, poki będziesz miał robotę. My tu sobie damy radę. Szczerze ci życzliwy Franz Klotz”.

Jakkolwiek list ten nie zawierał w sobie właściwie żadnej bardzo pomyślnej wiadomości, jednakże ucieszył on Kruga niezmiernie, jako głos od rodziny, jako zapewnienie, że jej nic złego nie spotkało. Nie należy się też dziwić, że strapiiony wypadkami dnia mularz zasnął z łżejszem sercem i rozkoszował się we śnie nauką dzieci, stanem żony, obstalunkiem płótna, nawet Kanossą. Wszystkie te obojętne szczegóły spletały mu się w uroczym marzeniu.

Ani razu od przyjazdu nie wstał tak ochoczy i uradowany. Piękny poranek wrześnieiwo śmiał się do niego wszystkimi promieniami swego łagodnego światła. Gdyby kto tego dnia zamówił Kruga do wymurowania nowych niebios, nie byłby bardziej rozweselony. Idąc pod wpływem tych wrażeń do roboty, nagle stanął, zadumał się, a wzruszona twarz jego zaczęła się jeszcze bardziej rozjaśniać uśmiechem jakiejś szczęśliwej myśli.

— Tu dobrze byłoby żyć — szepnął do siebie. Tak łatwo o robotę.

Jak gdyby myśl ta go oskrzydliła, szedł prędko, machając rękami i wyrzucając odebrane słowa. Wbiegł szybko na rusztowanie i spojrzął z zadowoleniem wokoło. Wszędzie roztaczał się przed nim widnokrąg szerokiego pola pracy, na którym nie gnietli się stłoczeni ludzie i domy. Ile tu rąk potrzeba! Nie tak, jak tam w ojczyźnie niemieckiej, gdzie zbita masa narodu rozgniata biedaków bez miłosierdzia.

— Ja między wami będę na zawsze usiąść — rzekł zachwycony Krug do przechodzącego przyjaciela Czapli.

— To my was podniesiemy.

— Przecież ja także Polak, my bracia...

— Bracia! — rozśmiał się zagadniony i odszedł.

— Usiądzie, ale nie wstanie — bąknął Czapla, gdy mu przyjaciel powtórzył zamiar Kruga. On psi brat, nie nasz.

Z podwójnym zapalem zabrał się Krug do roboty, jak gdyby sobie murował dom na przyszłe w Polsce mieszkanie. Nie mogąc jednak utaić powziętej myśli, rozwijał ją ustawicznie przed towarzyszymi, którzy do niej wplatali słowa gorącej zachęty.

— Jak mnie będzie dobrze — mówił — to i wy się przeniesiecie.

— Zobaczmy.

— Jeżeli w zimie znajdzie się zarobek, na wiosnę zaraz tu z rodziną przyjadę.

Tak roił sobie uszczęśliwiony Krug, na którego Czapla rzucał od czasu do czasu zawistne spojrzenia.

Dano znak południowego odpoczynku. Krug zeszedł z rusztowania, na którym okno drugiego piętra murować zaczął i wraz z towarzyszami udał się do garkuchni na obiad. Wkrótce został tylko sam Czapla, który robotę przeciągnął z niezwykłą gorliwością. Ale wreszcie i on położył kielnię, spojrzął po murach, przeszedł na miejsce, które Krug zajmował, schylił się tam po coś, zbiegł szybko na dół i wpadł do szynku, gdzie go oczekiwali przyjaciele.

Na uczczenie wesołego dnia pozwolił sobie Krug wypić całą butelkę piwa. Wracal też do roboty wesół i żywo rozmawiał w swym gronie. Wszedłszy na ścianę, wziął przygotowany szalik wapna i zeskoczył na rusztowanie. Za ledwie jednak postąpił kilka kroków,

zsunięte jednym końcem z poprzecznego bala deski przeważły się i zwały go na dół. Trzymając w ręku szaflik, nie zdążył uchwycić się wiązania i uderzył bokiem o parkan, zawisł na nim chwilę i spadł na ziemię. Z omazanych wapnem ust buchnęła krew strumieniem. Przybiegli na ratunek z góry niemcy, zgromadzili się inni robotnicy, powstał gwar, który ściągnął masę przechodniów. Nadszedł i Czapla, lecz dostrzegłszy skrwawione ciało, podążył szybko na rusztowanie i zajął się pilnie robotą. Z całego składu robotników on jeden tylko pozostał na górze.

Krug ciężko jęczał, trzymając rękę na połamanym boku, ale nic nie opowiadał. Jakaś kobieta od noszenia cegły troskliwie obcierała mu twarz ze krwi i wapna. Wszyscy byli wzruszeni, chociaż nikt nie szemrał przeciwko nieszczęściu, które każdego mularza spotkać może. Dwaj tylko przyjaciele Czapli, zamieniając między sobą smutne spojrzenia i wznosząc je w górę, zdawali się odgadywać prawdopodobną historię wypadku.

Gdy zajechała dorożka, która chorego do szpitala zawieźć miała, Krug otworzył oczy i słabym głosem zawołał:

— Wilhelm.

— Jestem — odezwał się ten sam Niemiec, który go kiedyś za drogie piwo wylał i czapkę zrzucił.

— Weź te pieniądze — rzekł Krug wydobywszy z pod bluzy paczkę banknotów — oddaj mojej żonie i powiedz, ażeby synów, jak dorosną, tu przesiedliła. Tu można zarobić...

Czterech ludzi podniosło go i włożyło do dorożki, która odjechała... z trupem. Mularze wrócili do roboty, objaśniając rozmaitymi domysłami przyczynę spadnięcia.

— Umarł? — spytał bojaźliwie Czapla dwu swych przyjaciół.

Oni nic nie rzekli, zaczęli murować.

Na drugi dzień doniesiono w pismach między wiadomościami policyjnymi o zabiciu się Karola Kruga, a jednocześnie w pewnej gazetce użyłano się, że Niemcy coraz bardziej wypierają nas z pola pracy.

— Biedny Krugu — pomyślałem sobie — ja ci to, żeś chciał u nas pracować i moim być bratem — przebaczam.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/karl-krug/>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Świętochowski, *Obrazki powieściowe* [Pisma, T. I], G. Gebethner i Spółka, Kraków [1896].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0831-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).